MARIA TERESA
KORZONKIEWICZ-KISZCZAK

żona generała KISZCZAKA mówi...

Maria Teresa Korzonkiewicz-Kiszczak

ŻONA GENERAŁA KISZCZAKA MÓWI...

Wydawnictwo Estymator
www.estymator.net.pl
Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-41-0
Copyright © Maria Teresa Korzonkiewicz-Kiszczak
Tekst i zdjęcia: MTKK, Warszawa 2012, wydanie III poszerzone

Autor projektu okładki: Marcin Labus. Na okładce: po prawej autorka, a po lewej jej mąż. Wykorzystano fragment zdjęcia dokumentującego uroczystość wodowania statku ORP Nawigator (Stocznia Północna w Gdańsku, rok 1975), którego Autorka tej książki była matką chrzestną.

SPIS TREŚCI

Ja się z tobą rozwiodę…
Poznanie
Tresowanie żony
Jestem inspektorem
Niebezpieczny chrzest
Gdynia – portowe miasto
Złe fatum
Mój pierwszy bal… z mężem
Brydż, czyli most do śmierci
Niebywała afera szpiegowska
Zakochał się na śmierć i życie
Skandale seksualne
Odkrywam świat
W krainie czarów
Ja i Czesław rodzimy…
Zostałam przeflancowana
Chcę uczyć te „głąby”
Wiedzą sąsiedzi
Uraz psychiczny
Jego ciało jak magnes
Mieszkam z lesbijką
Osioł dyrektor
Hospituję lekcje
Kufel… pełen strachu
Budujemy nasz dom
Sąsiad ambasador
Nasza ciocia Anielka
Zrywam stosunki dyplomatyczne
Smutek
Wywiad i ja tam
Walentin – co to za attaché?
Dyplomatyczne ploteczki
Rządy żon
Lekcja przedstawienia
Prominenci na „oślej łączce”
Czy to sławni szpiedzy?
Jestem matką chrzestną okrętu
Demoralizacja dotknęła szkołę
Garaż salą balową
Instytut Kształcenia Nauczycieli
Co się dzieje?
Umarł mój ojciec
„Trzęsienie ziemi”
Wyboista droga zmian
„Orka na ugorze”
To na co tyn pieron czeko?
Generał Kiszczak „internuje” żonę
Zapłacisz jeszcze za to…

Ja się z tobą rozwiodę…

Jeżeli to opublikujesz w takiej formie, to ja...

– się z tobą rozwiodę – dokończyłam jego myśl ze złośliwym uśmiechem. Jemu tak trudno spokojnie przedstawić swoje argumenty, najłatwiej jest „pogrozić pięścią". Piszę przecież o sobie. O swoim życiu, równie ciekawym, co trudnym. Piszę o miłości…

– W jakim kontekście?

– Obrazy mojego życia, obrazy naszego życia stają przede mną jak zaczarowane, domagają się opisu. Ta książka to saga, zaczyna się od początku naszego wspólnego życia. Rzeka mojego życia płynie obok rzeki twojego życia, żyjemy tak bardzo razem, ale i tak bardzo osobno…

– A dzieci? W jakiej to rzece je umieszczasz?

– W naszej, wspólnej… Oczywiście, ich życie bliższe jest mojego, mojej rzeki…

Czesław wcześniej widział, że coś piszę, ale nie wiedział co. Ja zresztą ciągle coś piszę i jego to nie interesuje.

– Ale dlaczego napisałaś tę książkę?

– Dlaczego? Z wielu przyczyn, przede wszystkim dlatego, że odczuwam taką potrzebę. Ta potrzeba nie narodziła się nagle. W zasadzie prawie od naszego ślubu, zaczęłam notować fakty z naszego życia. Później doszły informacje dotyczące ważniejszych wydarzeń politycznych, szczególnie tych z twoim udziałem. Teraz nadarzyła się okazja, abym dokonała jakiegoś obrachunku, podsumowania…

– Mnie?

– Nie, nie ciebie, tylko mnie. Nie mogę robić tego jednak w całkowitym oderwaniu od ciebie, bo jesteś częścią mojego życia.

– Prawda ma różne wymiary. Twoja prawda jest subiektywna.

– Właśnie odczuwam potrzebę subiektywnego pokazania prawdy, również dotyczącej ciebie, pomimo że mam świadomość tego, że jesteś postacią historyczną. Jeżeli zetrę trochę „brązu" z twojej osoby, to ci nie zaszkodzi. Będziesz bardziej prawdziwy.

W tym co piszę, muszę być uczciwa, ponieważ nieprawda nie będzie mieć żadnej wartości, w każdym razie w moim odczuciu nie będzie jej mieć.

Niewątpliwie odkrywam pewne cechy twojej osobowości, twoje wady, ale także twoje zalety, twoje poświęcenia, ciekawą i ciężką pracę dla dobra Polski, twoje sukcesy i porażki.

Zdaję sobie sprawę z tego, że otwierając szeroko drzwi naszego domu zdradzam „tajemnice alkowy", łamię określone „tabu", ale bez tego nie byłoby tej prawdy.

Odsłonić kulisy pulsującego emocjami polskiego diabelskiego kotła i polską scenę, a raczej arenę polityczną, w tak ważnym okresie, na przełomie epok; na której występowałam w charakterze wścibskiego widza, a w niewielkim stopniu także w charakterze aktora – to jest również wyrazem moich potrzeb.

Odczuwam także potrzebę pokazana różnorodnych aktorów występujących na tej politycznej arenie: żonglerów, linoskoczków, prestidigitatorów, klaunów, negatywnych i pozytywnych bohaterów.

Arena służy do bawienia, rozśmieszania widzów, a więc śmiejmy się… Smutku precz.

… „Śmiej się, pajacu". Życie jest przecież takie krótkie…

Poznanie

Dziwne są ludzkie losy. Być może istnieją jakieś siły, które kierują tymi losami, być może nie. Człowiek jest elementem wszechświata sprzężonym z nim, w ramach różnych

układów cybernetycznych. Być może zasadnicze powiązania wywodzą się od gwiazd i w momencie urodzenia człowieka określają jego życiowy horoskop.

Być może ten system układów i sprzężeń spowodował, że na dworcu kolejowym małego miasteczka w południowej Polsce, dwoje zupełnie obcych sobie ludzi spotkało się nieoczekiwanie i niteczki ich życia zaczęły plątać się wzajemnie. A może był to zupełny przypadek?

Pewnego pięknego sierpniowego dnia, znalazłam się przypadkowo na dworcu kolejowym w Andrychowie. Wracałam z jednego z andrychowskich zakładów, gdzie zbierałam materiały do pracy magisterskiej.

Czekając na pociąg, spaceruję po peronie. Nie lubię stać w miejscu, stanie w jednym miejscu nie jest zgodne z moim temperamentem.

Ubrana jestem w białą jedwabną sukienkę w czerwone kwiatki, którą rozwiewa wiatr, odkrywając nogi. Ja, zajęta własnymi myślami, nie zwracam na to uwagi. Ani przez chwilę nie pomyślałam, że jest tam ktoś, kto zwraca na to uwagę, że jestem przez kogoś uważnie obserwowana.

Pociąg nadjechał. Wchodzę do przepełnionego wagonu drugiej klasy i staję w zatłoczonym przejściu. Obok mnie, przepychając się trochę, zatrzymuje się młody mężczyzna w mundurze oficera. Na naramiennikach widzę paski i gwiazdki, ale nic to mi nie mówi, bo po prostu nie znam się na stopniach wojskowych.

Mężczyzna zaczyna robić wszystko, aby nawiązać ze mną rozmowę. Wygląda to mniej więcej tak:

– Może za ciężka ta torba? Może położę ją na półkę? Będzie pani wygodniej stać.

W torbie mam opracowania, notatki związane z pracą magisterską, a także książki, czasopisma.

– Może otworzyć okno? Nie jest pani za gorąco? Może zamknąć okno, może pani za zimno? Piękna dziś pogoda, prawda? Ja jestem na urlopie u rodziców. Jadę do „Patrii" na śledzika, bo znudziło mi się trochę to matczyne jedzenie – zabawia mnie rozmową nieznajomy.

„Patria" to jedna z najlepszych restauracji w Bielsku-Białej. Ja również zachodzę tam często z koleżankami i kolegami na lody, na jakąś przekąskę, niekiedy na dancingi.

– Pani już wysiada? Czy mógłbym panią odprowadzić?

– Nie dziękuję – odpowiadam, lekko przestraszona perspektywą spaceru przed domem z obcym człowiekiem, w dodatku w mundurze.

– A mógłbym się z panią jeszcze spotkać?

– Nie wiem, czy się jeszcze spotkamy – mówię z uśmiechem, przepychając się do wyjścia.

– Czy przyjedzie pani jeszcze do Andrychowa?

– Tak, będę tam jutro.

Na drugi dzień omal nie spóźniam się na pociąg. Wbiegam w ostatniej chwili na dworzec i widzę, że ten przypadkowo poznany mężczyzna czeka na mnie przy wejściu z biletami I klasy w ręku.

Tym razem nasza rozmowa w pociągu jest już swobodniejsza. Mój nieznajomy przedstawił mi się i zaczął opowiadać o sobie. Zapamiętałam tylko, że ma na imię Czesław, jest kawalerem, ma prawie 33 lata, jest oficerem WP w stopniu podpułkownika, mieszka w Warszawie.

Przez dwa tygodnie jego urlopu spotykamy się codziennie. Na spotkania Czesław przychodzi już nie w mundurze, ale w jasnopopielatych spodniach, szarym wdzianku o modnym kroju i niebieskiej koszuli, która wspaniale podkreśla błękit jego oczu i brązową, mocną opaleniznę.

Chodzimy do kawiarni, restauracji, spacerujemy po skwerach, ulicach i rozmawiamy. Zauważyłam, że on ma dużą wiedzę historyczną. Doskonale zna historie polskich powstań, wojen napoleońskich, światowych, historie wielkich rewolucji: francuskiej i październikowej.

Powiedział mi, że na tym andrychowskim peronie nie mógł oderwać wzroku od moich nóg, a w wagonie zwrócił uwagę na to, że czytam „Dookoła świata", „Przekrój", „Panoramę" i to spowodowało wzrost jego zainteresowania moją osobą.

Mój nowy znajomy wydaje mi się bardzo interesujący, inteligentny, tajemniczy. Przyjemnie jest przebywać w towarzystwie takiego mężczyzny.

– Gdyby jeszcze był trochę młodszy, chociaż troszeczkę młodszy – myślę. Czesław jest już dorosłym, doświadczonym życiowo człowiekiem, a ja dopiero wchodzę w dorosłe życie.

W czasie tych naszych spacerów po ulicach Bielska-Białej spotyka nas mój wielbiciel, asystent Wyższej Szkoły Ekonomicznej, na której studiuję. Nie ukrywał, że ma wobec mnie poważne zamiary. Nie wiadomo, skąd się wziął w Bielsku-Białej, chyba przyciągnęły go tam góry. Ukłonił się i to wszystko, ale z jego twarzy wyczytałam, jak wielkie wrażenie wywarło na nim to spotkanie. Zrobiło mi się go trochę żal, lecz nie przejęłam się tym za bardzo, bo jest to miłość raczej bez wzajemności z mojej strony.

Po dwóch tygodniach mój sympatyczny znajomy o imieniu Czesław wyjeżdża do Warszawy. Dwutygodniowa sielankowa znajomość została przerwana. Wyjeżdżając nie zostawił adresu, a ja nawet nie zapamiętałam jego nazwiska. Powiedział, że do mnie napisze.

A gdyby nie napisał? Nie byłoby z tego powodu wielkiego nieszczęścia, bo nie należę do dziewczyn zbyt szybko angażujących się uczuciowo. Pozostałoby mi miłe wspomnienie. Wychodzę z założenia, że nie tylko nic nie tracę na znajomości z interesującym mężczyzną z innego środowiska, z bogatym doświadczeniem życiowym i zawodowym, ale wprost przeciwnie, wzbogacam własną osobowość.

W pamięci tkwi mi ciągle ostatni dancing w „Patrii". Tańczyliśmy. Piosenkarka śpiewała modne wówczas przeboje: „Arrivederci Roma, Good bye, auf Viedersehen", „Gałąź różowej wiśni, co kwitła w twym ogrodzie objęła gałąź wiśni kwitnącej w moim sadzie…". Miał ciepłe delikatne ręce i oczy jak chabry. Śmiałam się. Wiedziałam, że dobrze tańczę, czułam wpatrzony we mnie jego wzrok, wyczuwałam wzrok innych ludzi będących w tym lokalu. Chciałam wtedy, aby czas się dla nas zatrzymał. Byłam szczęśliwa.

Tego typu wspomnienia są niestety, jedynymi tak radosnymi chwilami z okresu przedmałżeńskiego. Jaka szkoda, że było ich tak mało.

* * *

W drugiej połowie lata nie działo się nic nadzwyczajnego. Dopiero później… Obiecany list od mojego tajemniczego znajomego nie nadchodzi, a ja nie martwię się tym zbytnio i nie czekam na korespondencję. Poświęcam się całkowicie pisaniu pracy magisterskiej. Jest piękne lato. Siedzę w ogródku przed domem, plecami do słońca i pracuję. Intuicja mówi mi jednak, że ta znajomość jeszcze się nie skończyła.

Pierwszy list przyszedł dopiero pod koniec września. Od wyjazdu Czesława upłynęło już prawie półtora miesiąca.

– Dlaczego tak długo kazał mi czekać na ten list? Dlaczego nie napisał wcześniej? – zastanawiam się.

Tajemnicę tak długiego milczenia odkryję dopiero wtedy, gdy zostanę już jego żoną. Wśród wielu różnych, porządkowanych przeze mnie dokumentów, znajdę opinię na mój temat, opracowaną przez miejscową komendę milicji.

Mój przypadkowy znajomy zbierał przez ten czas informacje o mnie, o czym ja oczywiście nie wiedziałam. Dlaczego to robił? Był oficerem służb wywiadowczych, a w tych służbach, w okresie gomułkowskim panowały jeszcze takie rygory.

Opinię wystawiono mi bardzo dobrą, mimo, że jak na owe czasy dziewczyna nie mająca politycznie akceptowanego pochodzenia, z rodziny bardzo wierzącej, należąca ponadto do grona przyjaciół księdza Franciszka Macharskiego, późniejszego kardynała, powinna być na indeksie.

W tym pierwszym liście Czesław powiadamia mnie, że przyjeżdża z kolegą. Chciałby go ze mną poznać. Prosi o zarezerwowanie im miejsc w hotelu.

W wyznaczonym dniu spotykam się z nimi na dworcu kolejowym w Bielsku-Białej, aby odprowadzić ich do hotelu „Patria". Czesław przedstawia mi kolegę Romana. Po krótkiej rozmowie prosi o możliwość poznania moich rodziców.

Uświadomiłam sobie nagle, że jest to nowy etap naszej znajomości. Mój sympatyczny wielbiciel nie traci czasu. Do pomocy w ocenie dziewczyny, którą przecież znał tak krótko, oraz jej rodziców, których jeszcze nie znał, zaprasza kolegę.

Ten pierwszy rekonesans, jak świadczy dalszy rozwój naszej znajomości, dla Czesława wypadł pomyślnie, dla mnie jednakże o mało nie oznaczał końca tej znajomości.

Mój konkurent oraz jego kolega zjawili się na drugi dzień w moim domu, w jakimś troszeczkę dziwnym nastroju. Zaczynają się poufałe odzywki: mamusiu, tatusiu, obcałowywanie mamy po rękach, spoufalanie się. Patrzę i oczom nie wierzę. Z kimże to ja mam do czynienia? Jest to przecież inny człowiek, niż ten którego poznałam. – „Kończ tę znajomość jak najszybciej" – podejmuję w myśli decyzję.

Roman który zorientował się w moich odczuciach, odciąga mnie na bok.

– Dla dodania sobie pewności, wypiliśmy trochę koniaku. Czesław nic nie jadł, wypił na głodny żołądek – mówi.

Gdy usłyszałam, że wypili, zraziłam się do nich jeszcze bardziej. Poczułam się tym wręcz obrażona. Wtedy Roman zaczął mi tłumaczyć, że Czesław nie pije, bo gdyby pił, to nie zaszedłby tak wysoko w wojsku, a to jego zachowanie jest wyjątkowe.

W moim domu nie piło się alkoholu. Ojciec owszem, wyciągał przy wyjątkowych okazjach z kredensu jakąś butelkę, nalewał gościom i sobie symboliczny kieliszek i na tym koniec. Alkohol z powrotem wędrował do kredensu. Aż tu nagle taka sytuacja, taki wstyd. Szybko wyprowadziłam ich na dwór, na dłuższy spacer. Kiedy wróciliśmy, było już inaczej. Mój konkurent zachowywał się inteligentnie i kulturalnie. Na szczęście, rodzice nie zorientowali się w sytuacji. Nawet do głowy im nie przyszło, że zjawiający się po raz pierwszy w domu kawaler może być na rauszu.

Długo byłam pod przykrym wrażeniem tego spotkania. Powoli jednakże jakoś to sobie wytłumaczyłam. W pewnym momencie zaczęłam się śmiać sama do siebie. Ten pewny siebie pułkowniczek, ma jednak słabe strony, jedną już odkryłam. Co jeszcze chowasz w zanadrzu, mój drogi? – myślałam. Zacierało się to co przykre, pozostało to, co radosne.

* * *

Listy przychodzą coraz częściej. W listach Czesław zaczyna przygotowywać mnie do tego, że chciałby się ze mną ożenić i to możliwie szybko. Jednocześnie przekazuje mi wiadomość, która jest dla mnie druzgocąca. Ze względu na uwarunkowania zawodowe – pisze – możemy wziąć tylko ślub cywilny. Ślub kościelny oznaczałby dla mnie utratę pracy i całego dorobku zawodowego.

Od tego momentu, problem takiego ślubu zaczyna spędzać mi sen z oczu. Nie mam odwagi powiedzieć o tym rodzicom. Wiem, jaka jest ich postawa w tym względzie, znam ich zasady. Zdaję sobie sprawę, jakie to będzie dla nich straszne przeżycie.

Straszne jest to także dla mnie. Jestem wierząca i praktykująca. Wymarzyłam sobie wspaniały ślub: biała suknia i welon, „Ave Maria" śpiewane w kościele, mnóstwo gości, muzyka, zabawa do rana. A tu „masz babo placek". Starający się o moją rękę mężczyzna

proponuje mi jakiś tam, pogardzany w moim środowisku, kontrakt cywilny. Jakby to była umowa na sprzedaż konia.

Gryzę się i gryzę. Nie muszę się przecież na nic zgadzać. Mogę jeszcze to wszystko zerwać. Mogę zrezygnować z tej znajomości. Jednakże, kończę studia. Pracę magisterską mam napisaną i złożoną do obrony. Kończę jakiś ważny etap mojego życia i muszę podjąć decyzję, co dalej.

Potencjalnemu mężowi stawiam wysokie wymagania. Oczekuję wykształcenia, godności, intelektu, kultury. Zdaję sobie sprawę ze swoich zalet. Wiem, że – jak mówi moja rodzina – urody mi na szczęście „Pan Bóg nie poskąpił", a i wielu zdolności również. W średniej szkole miałam przezwisko „Amorek", które wtedy, strasznie mnie złościło, dzisiaj oczywiście bawi. Do małżeństwa spieszyć się nie muszę, bo zawsze zdążę, ale muszę się na coś zdecydować. Mam jednak wrażenie, że ktoś taki jak Czesław śnił mi się po nocach dużo wcześniej, zanim go spotkałam. Podświadomie czuję, że się już z tej znajomości nie wyplączę.

Działania Czesława nabrały tempa. Jeszcze nie uzyskał ode mnie zgody na małżeństwo, a już zawiadamia, że chce przyjechać i zabrać mnie wraz z moimi rodzicami do swoich, aby się rodziny poznały.

– To oznacza, że on się chce z tobą ożenić. Jesteś na to przygotowana? – pyta mój ojciec.

– Zobaczymy – powiedziałam.

Przyjechał służbowym samochodem z kierowcą – żołnierzem. Pojechaliśmy do jego rodziców. Rodzice i cała rodzina przyjęli nas serdecznie. Jego rodzice to prości, starsi ludzie. Matka drobna i nieduża, ojciec wysoki, kościsty, o rzucających się w oczy ostrych rysach twarzy, wyraźnie zarysowanych kościach policzkowych i dużym, orlim nosie. Ojciec jest znanym lokalnym działaczem. Już przed wojną należał do różnych organizacji i z tego powodu był przez Niemców wywieziony na roboty. Za kilkanaście lat, gdy umrze, zostanie pochowany w alei zasłużonych na andrychowskim cmentarzu. Ale to będzie później. Czesław ma przyrodniego brata, pochodzącego ze wspólnej matki, który jest w wieku mojej mamy.

– Jego rodzice mogliby być rodzicami moich – pomyślałam.

Rzuca się w oczy fakt, że rodzice są dumni z Czesława.

Opowiadają, że na wszystkich świadectwach szkolnych miał zawsze najwyższe oceny, że z wyróżnieniem skończył Akademię Sztabu Generalnego, a przez cały okres studiów wszystkie egzaminy zdawał również tylko na piątki.

– Myślę, że powinniśmy przygotowywać się do wesela – mówi mój ojciec po powrocie z tej wizyty. – Jak wyglądają wasze plany?

Nie miałam już wyjścia. Musiałam powiedzieć ojcu, jaki to ma być ten ślub i jakie to będzie wesele. Wiadomość ta spadła na niego jak grom z jasnego nieba. Posmutniał, widziałam jak bardzo ciężko to przeżywa.

– Na takie małżeństwo nie wyrażę zgody – powiedział.

Mój dobry ojciec zdawał sobie jednocześnie sprawę z tego, że wcale żadnej zgody wyrażać nie musi. Zrobię to, co sama zechcę.

Wcale nie jest mi do śmiechu, niestety. Jednakże cechujący mnie optymizm, chęć przygód, chęć odkrywania ciągle czegoś nowego, jakaś awanturnicza „żyłka" powoduje, że pociągnęła mnie ta nowa niewiadoma.

Rodzina zaczyna wybijać mi z głowy to małżeństwo. Tłumaczą, że mam przecież tyle innych możliwości.

– Ale te możliwości nie odpowiadają moim wymaganiom – mówię. Tłumaczę im również, że przecież my się prawie nie znamy, nie wiem jak mi się z nim życie ułoży, więc lepiej, że będzie to ślub cywilny, bo zawsze mogę się rozwieść. Rodzice w końcu, czując,

jaką decyzję podejmę, zaczynają się pocieszać, że przynajmniej dobrze, że jest kawalerem, a nie jakimś rozwodnikiem.

Czesław zawiadamia mnie, że drugiego grudnia w Warszawie jest nasz ślub i przyjeżdża po mnie na trzy dni przedtem. Przygotowuję walizkę z podstawową garderobą.

Do Warszawy wyjeżdżam tylko z Czesławem. Nikt z rodziny ze mną nie jedzie. Na dworcu w Bielsku-Białej spotyka mnie pierwsze rozczarowanie. Sądziłam, że mój narzeczony pułkownik wykupił miejsca w wagonie sypialnym. On jednak poskąpił na to pieniędzy. Jedziemy całą noc, drzemiąc, oparci o siebie.

* * *

W momencie, w którym wysiedliśmy na dworcu w Warszawie – chociaż jeszcze nie zdaję sobie z tego sprawy – jak ciężkie wieko skrzyni, zamka się za mną dzieciństwo i ten jakże romantyczny okres dziewczęcości.

Z dworca jedziemy taksówką do przyjaciół Czesława: Romana i Stefy, gdzie mieszkam do dnia ślubu. Wchodzę do tego mieszkania pełna ciekawości, a jednocześnie onieśmielona, skrępowana.

Odbieram pierwsze wrażenia. Romanowie, trochę starsi od Czesława, mają czternastoletnią córkę Jankę. Jest ona w wieku mojego najmłodszego brata. Mieszkają w bloku, w dwupokojowym mieszkaniu z kuchnią. W jednym pokoju śpi Janka, w drugim oni. Mnie na te dwa dni ulokowali w pokoju Janki. Zarówno pokoje jak i kuchnia umeblowane są ciężkimi, przedwojennymi kredensami, szafami. Meble za ciężkie jak na takie mieszkanie – pomyślałam.

Stefa zaczęła mi się intensywnie przypatrywać, a ja robię to samo w stosunku do niej. Zauważam, że ich dom jest dobrze zorganizowany. Wszyscy jedzą obiad w domu.

Stefa od razu – czuję to wyraźnie, chce mi zaimponować, pokazać, jaka jest ważna, ale przy okazji, mam takie odczucie, stara się pomniejszać wartość mojej osoby. Wyciąga z szafy różne sukienki, w które się stroi. W obecności jakiejś ciotki, która zapewne przyszła mnie obejrzeć, zaczęła przymierzać czerwony kapelusz. Okropny – pomyślałam, ale nic nie powiedziałam.

Ciotka „pieje” z zachwytu. Ja też powinnam trochę się nim pozachwycać, robiąc przyjemność Stefie, ale nie miałam jeszcze pojęcia o tej warszawskiej dyplomacji, a nie lubię kłamać.

Rzuca mi się w oczy jeszcze jedna sprawa: jakiś dziwny stosunek Stefy do Czesława i odwrotnie. Stefa daje mi do zrozumienia, że ma wielki wpływ na Czesława. Poza tym Janka odnosi się do Czesława okropnie, a on nic!

– Jak on może sobie pozwolić na takie zachowanie smarkuli? – myślę wzburzona.

– Co ty w nim widzisz?– pyta mnie Janka.

– Siebie w jego oczach – odpowiadam.

* * *

Stało się coś takiego…. Wybraliśmy się z Czesławem obejrzeć nasze mieszkanie. Podjeżdżamy pod nowy blok mieszkalny, wsiadamy do windy, wysiadamy. Czesław z dumą otwiera drzwi mieszkania i nagle stało się coś, czego żadne z nas się nie spodziewało.

Czesław wprowadza mnie do nowego, czystego mieszkania, składającego się z dwóch pokoi z kuchnią, na dodatek umeblowanego w całkowicie nowe meble. Jest pewien, że zacznę skakać z radości. A ja nic. Po prostu nic.

Dlaczego tak zareagowałam? Spotkało mnie bardzo duże rozczarowanie. Byłam przekonana, że pojedziemy do jego kawalerki przy ulicy Nowolipki, o której mi opowiadał.

Myślałam, że na początku pożyjemy trochę na luzie: obiady w kasynie, wieczorem kino, teatr, tańce. Sądziłam, że będzie jeszcze trochę tak, jak zgodnie z jego opowiadaniami, on żył dotychczas. My przecież nie mieliśmy narzeczeństwa, powinniśmy się jeszcze poznawać. Poza tym, nie dojrzałam jeszcze psychicznie do „okopywania" się w domu.

Nowego mieszkania nie doceniłam należycie również dlatego, że cała moja rodzina od pokoleń, mieszka we własnych domach jednorodzinnych. Mieszkanie wojskowe w bloku nie było więc dla mnie czymś, co musiałoby mnie przyprawić o zawrót głowy.

Ponadto, zobaczyłam tam solidne na wysoki połysk meble, które od razu mi się nie spodobały, bo nie były w tym czasie najmodniejsze, a urządzenie swojego mieszkania wyobrażałam sobie inaczej. I o zgrozo! dowiedziałam się także, że meble zostały wzięte na raty, do wspólnej spłaty.

Pozbawiono mnie więc przyjemności urządzania własnego mieszkania, odebrano mi prawo decydowania o wspólnych sprawach, na dodatek od pierwszego dnia małżeństwa wtłoczono mnie w długi – myślę. Straszne! I z czego tu się cieszyć? Wiedziałam, że decyzje te za mnie podjęła inna kobieta. Zrobiło mi się smutno.

Z mieszkania wyszliśmy pośpiesznie, już przed ślubem troszeczkę wzajemnie rozczarowani.

* * *

Do Urzędu Stanu Cywilnego poszliśmy piechotą, bo było niedaleko. Poszliśmy w czwórkę, my i nasi świadkowie: Roman i Stefa. Był ponury, grudniowy dzień. Niebo spowiły szare chmury, nie przepuszczające najmniejszego promyczka słońca. Ziemię otulała szarość jesiennego smutku. Na chodnikach roztopiony śnieg utworzył brudną chlapę. Ubrana w szarą garsonkę, z szarością w sercu, szłam na własny ślub. W którymś kościele rozdzwoniły się dzwony. Czy dzwonią one dla mnie? Czy na dobre, czy na złe? – Oczywiście, że na dobre. Nie dam się – pomyślałam.

Usiedliśmy przed urzędnikiem… i nagle zaczęłam się śmiać. Śmiałam się zarówno w trakcie wygłaszania przez niego jakiegoś przemówienia, jak i w czasie składania przyrzeczenia, a także podczas podpisywania tego ślubnego kontraktu. Po prostu śmiałam się i już. A w tym momencie decydowały się losy całego mojego życia.

Po drodze z Urzędu Stanu Cywilnego wstąpiliśmy do zakładu fotograficznego, aby upamiętnić na fotografii to wydarzenie, a stamtąd poszliśmy wszyscy do naszego mieszkania przy ulicy Brackiej 11/13 m. 64. Wieczorem zaś, oczywiście również w czwórkę, wybraliśmy się na dancing.

Zaczynamy tańczyć. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu wygląda to tak, że ja bez przerwy tańczę z Romanem, a Czesław ze Stefą i widzę, że taniec z nią sprawia mu przyjemność. Dziwne, czyżbym weszła w jakieś układy? Co jest grane? Muszę to wszystko jakoś wyjaśnić, zrozumieć – pomyślałam.

Znalazłam się sama w nowym, zupełnie obcym mi, wojskowym środowisku. Nawet własnego męża znałam bardzo niewiele, bo nie mieliśmy okazji lepiej się poznać. Zaczęła mi świtać w głowie myśl, że niełatwo będzie żyć z tym trochę dziwnym, dorosłym człowiekiem. Mój wrodzony optymizm, ciekawość życia oraz ciągłe pragnienie przygód wzięły jednakże górę nad problemami.

Tresowanie żony

Życie każdego człowieka to przede wszystkim praca, w różnorodnych dziedzinach działalności. Każdy człowiek składa się z wielu sfer osobowości, które bardzo często różnią się zasadniczo między sobą. Łatwo możemy wyróżnić osobowość zewnętrzną na pokaz, oraz tę wewnętrzną nazwijmy ją domową.

Wokół tej osobowości domowej, tworzą się skorupy tajemnicy. Istnieje powiedzenie „nie mów nikomu, co się dzieje w twoim domu". Czy oznacza to, że wstydzimy się swoich zachowań we własnym domu? Wstydzimy się swojej domowej osobowości? Wstydzimy się sami siebie?

Wyłamuję się z rygorów takiej tajemnicy. Jak już wspomniałam wcześniej, otwieram szeroko drzwi własnego domu. Staram się pokazać prawdę nie tylko w aspekcie rodzinnym, ale również społecznym, politycznym…

* * *

Dopiero po ślubie, w tym nowym mieszkaniu zaczęłam poznawać tego, za którego wyszłam za mąż. Zeszła z jego twarzy letnia, wspaniała opalenizna, wyjrzała ziemista cera. Mój mąż robił wrażenie dużo starszego. Był poza tym strasznie chudy. W łóżku obok mnie leżał kościsty szkielet, obciągnięty skórą.

Od razu po ślubie Czesław szedł do pracy. Rano przygotowałam śniadanie i zapraszam go do stołu. Widzę z przerażeniem, że przed śniadaniem pali papierosa za papierosem. Próbuję mu tłumaczyć, że jest to bardzo niezdrowe, on odpowiada, że tak się już przyzwyczaił i przyzwyczajeń nie zmieni. Daję za wygraną. Po wypaleniu kilku papierosów, zjada pół kromeczki bułki paryskiej z masłem, wypija pół szklanki herbaty i wychodzi.

– Wiesz, kilkumiesięczne niemowlę je więcej – mówię. Cóż, mogę sobie mówić, on wie swoje.

Zaraz w pierwszych dniach wspólnego życia Czesław zapowiedział mi, że ma dość kasynowych dań i nigdy więcej nie będzie ich jadł, więc muszę gotować obiady. Robię zakupy w okolicznych sklepach stojąc w kolejkach, znoszę do domu ciężkie siatki, obieram jarzyny, ziemniaki, owoce, gotuję zupki, kompoty, tłukę i smażę mięso.

Czy umiałam dobrze gotować? Przy jakiejś okazji, skończyłam kurs gotowania. Po kursie umiałam nawet upiec dobry tort. Jednakże nie pogłębiałam tej umiejętności, bo w domu gotowała mama, poza domem posiłki jadłam w barach mlecznych, stołówkach, restauracjach, gdzie wtedy wcale nie było tak drogo, zresztą, uczelnia, nauka… Ale czyż dla młodej kobiety, zaopatrzonej w książki kucharskie gotowanie może być problemem?

Mój świeżo upieczony mąż wraca z pracy do domu. Podaję pachnącą, parującą zupę. On kosztuje jedną łyżkę, a następnie demonstracyjnie bierze talerz, niesie go do ubikacji i wszystko tam wylewa. Zrobiło mi się przykro, ale nic nie powiedziałam. Podaję kotlet schabowy z ziemniakami i z czymś tam jeszcze. Cały talerz z drugim daniem wędruje do kosza na śmieci.

– Ja kotletów schabowych nie jadam, kompotu nie lubię – oświadcza Czesław. Cała moja praca idzie na marne.

– Wobec tego uzgodnijmy, co jesz i co lubisz – powiedziałam spokojnie.

Mój mąż nie był jednak skłonny rozmawiać na te tematy.

– Sama powinnaś wiedzieć, co jest dobre – brzmiała odpowiedź. Na drugi, trzeci dzień sytuacja się powtarza. Na myśl o gotowaniu zaczyna mi się już robić niedobrze.

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego mu moje jedzenie nie smakuje, było przecież normalne i wcale niezłe. Później dowiedziałam się, do jakiego jedzenia był on przyzwyczajony i co mu smakowało.

Czesław czasami, gdy brakło mu pieniędzy, jadł obiady, które przygotowywała Stefa. Były to kupowane w sklepie gotowe zupy, które ona tylko przyprawiała, albo jeśli gotowała, to doprawiała je octem. Ziemniaki rodzina Stefy jadła wyłącznie smażone na smalcu w postaci frytek, jedli oni również smażone na smalcu rumsztyki z wołowej polędwicy.

Rumsztyki z frytkami jedli na okrągło, codziennie, bo było to szybkie danie i roboty przy tym niewiele. Kompotu Stefa nie gotowała, bo było z tym za dużo zachodu, najłatwiej było zrobić herbatę, a do herbaty podać kupione w sklepie ciasto lub pączki.

Czesław, prawie od dzieciństwa pozbawiony rodzinnego domu, obiady Stefy kojarzył sobie z czymś najsmaczniejszym. Do gotowania na okrągło obiadów składających się z rumsztyków z polędwicy i frytek, zmuszać mnie już będzie przez całe życie. Później, mój mąż i jego przyjaciele zapłacą za taką kuchnię usunięciem woreczków żółciowych, ale to będzie później.

Czesław zna Romana i jego żonę od momentu, kiedy podjął pracę w wojsku. Młody chłopak, od lat pozbawiony rodziny, został niejako przez nich przygarnięty. Szybko się przekonałam, że wcale nie bezinteresownie.

– Dlaczego nie powiedział mi o swoich nawykach? Dlaczego nie pomógł przy kuchni młodej żonie? – stawiam sobie pytania.

– Ona będzie „padać na pysk", aby odgadywać co mi smakuje, będzie się zamartwiać z tego powodu, wymyślać coraz to nowe potrawy dla mnie i w ten sposób będzie się uczyć – myślał zapewne mój „pan i władca". Jakiż spaczony model żony tkwił w jego wyobraźni.

Moje reakcje są całkowicie odwrotne. Coraz bardziej nienawidzę gotowania. Wszystko robię z największą niechęcią. Czesław nie może tego zrozumieć.

– Każda żona staje na głowie, aby mężowi dogodzić – pokrzykuje.

– Każdy normalny mąż nie tylko wszystko by zjadał, co młoda żona ugotuje, ale by jeszcze chwalił, aby żonę zachęcać, a nie zniechęcać do garów. Twoje działania są antypedagogiczne – odpowiadam.

Niewiele jednakże można mu było powiedzieć. Najmniejsza nawet krytyka, najmniejszy sprzeciw, wywoływały dziwne reakcje. On się po prostu obrażał i nie odzywał. Ażeby mnie jeszcze bardziej pognębić, nie brał wtedy do ust niczego, co ja ugotowałam. Do tych sadystycznych metod dochodziła jeszcze następna: skoro nie jem niczego, co ty przygotujesz, nie będę ci dawać własnych pieniędzy. Sama na siebie zapracuj.

Każda moja próba wyjaśnienia nieporozumienia zdaje się na nic. Wprost przeciwnie, jeszcze pogarszała sytuację. „Kto się tłumaczy ten się oskarża" – gdzieś tam ma zakodowaną tragiczną teorię, która powoduje, że cokolwiek bym powiedziała, on interpretuje to po swojemu, oczywiście przeciwko mnie. Ma jeszcze jedną zasadę: „najlepszą formą obrony jest atak". Jego zachowanie nastawione jest więc tylko na atak.

* * *

To jest rozkaz! – może Czesław nie powiedział tak dosłownie, ale ja to tak zrozumiałam. W kilka dni po ślubie, mój mąż przed wyjściem do pracy, każe mi wywiórkować i wypastować podłogę w pokoju stołowym. Goście odwiedzający nas po ślubie, trochę ją zabrudzili. No cóż, siedzę w domu, jeszcze nie pracuję, więc trzeba brać się za robotę. Męczę się z tym i męczę, a tu trzeba zrobić zakupy, przygotować obiad, coś przeprać.

Mój mąż wrócił z pracy. Kiedy zobaczył nie całkowicie wywiórkowaną i wypastowaną podłogę, nie wziął do ust ani jednej łyżki jedzenia i przestał się do mnie odzywać. Próbuję coś tłumaczyć, na nic.

Nie mogę zrozumieć, o co chodzi. Jak w takiej sytuacji zachowałby się mój ojciec? – zastanawiam się. Mój mądry ojciec, do którego mówiło się wyłącznie „tatuś", a którego

darzyła szacunkiem nie tylko rodzina, ale także otoczenie i każde środowisko, w którym kiedykolwiek przebywał, w krytycznych sytuacjach zachowywał się całkowicie odwrotnie. Przystępował natychmiast do wyjaśnienia wszystkich spraw, rozmawiał, łagodził, emanując ciepłem, dobrocią i spokojem. Z uśmiechem rozładowywał każdą sytuację.

Nie byłam przyzwyczajona do takich wręcz patologicznych zachowań i przerażało mnie to. Pewnego dnia, gdy nie mogłam już tego wszystkiego dłużej znieść, spakowałam się i wyjechałam do rodziców.

Tam jednakże trafiłam z deszczu pod rynnę. Moja mama umyśliła sobie, że Pan Bóg mnie powołał na to, aby Czesława nawrócić, przyprowadzić do Kościoła. Dalejże więc ciosać mi kołki na głowie z tego powodu. Tego też nie byłam w stanie wytrzymać.

Bolesną linią podziału w rodzinie, ja zostałam dotknięta już wtedy, mimo iż samo to pojęcie zostało ukute znacznie później.

Zaraz po przyjeździe do Warszawy z przyzwyczajenia, zaczęłam chodzić do kościoła. Czesław z początku nie mówi nic, a potem bierze mnie na kolana i zaczyna tłumaczyć, że pracuje w specjalnych służbach w WSW i te służby stawiają specjalne wymagania, zatem lepiej by było, aby mnie ludzie w kościele nie widzieli.

Poza tym inicjuje następującą rozmowę:

– Co masz zamiar dalej robić? Wybierasz się do jakiejś pracy?

– Oczywiście, że mam zamiar pracować, nie wyobrażam sobie siedzenia w domu.

– To dobrze, ponieważ ja nie wyobrażam sobie pracować sam na rodzinę. Rodzinę musimy utrzymywać wspólnie.

Pojęcie „rodzina", użyte zostało nieprzypadkowo. Od pierwszego dnia naszego małżeństwa byłam w ciąży.

Nasza rozmowa była „po linii i na bazie". Kobiety nie pracujące zawodowo w mediach nazywano zacofanymi „kurami domowymi", twierdzono, że odstając intelektualnie od mężów, kompromitują ich. To „odstawanie" jest przyczyną licznych rozwodów. Bez względu na powody, ja nie wyobrażałam sobie życia bez pracy zawodowej. Miałam marnować własne zdolności, wiedzę, przy durnych pracach domowych? Nigdy!

Jestem inspektorem

Minęły Święta, Nowy Rok. Zaraz po Nowym Roku, nic nie mówiąc mężowi, poszłam do Banku Inwestycyjnego, który znajdował się po przeciwnej stronie naszej ulicy przy rogu Alei Jerozolimskich i Nowego Światu. Poprosiłam o pracę. Przedstawiłam dyplom świeżo obronionej pracy magisterskiej. Pracę magisterską broniłam zaraz po ślubie, wtedy nawet nie pomyślałam o zmianie nazwiska, dyplom mam wystawiony na nazwisko panieńskie.

Z miejsca zostałam do pracy przyjęta. W tym czasie osób z pełnym wyższym wykształceniem nie było tak wiele. Zaproponowano mi stanowisko inspektora w dziale finansowania i kontroli inwestycji. W miesiąc po ślubie byłam już w pracy.

Po cichu myślałam o tym, aby jeszcze coś studiować. Marzyłam o studiach dziennikarskich. Ale któż by mnie finansował, tym bardziej, że już w drodze było dziecko. Poza tym, zostałam wychowana w przekonaniu, że nakłady poniesione przez społeczeństwo na moją naukę, powinnam jak najszybciej zwrócić własną pracą.

Zaczęłam łączyć obowiązki domowe ze służbowymi. Od tego momentu, praca zawodowa, zacznie odgrywać coraz większą rolę w moim życiu.

Moje szczególne przeżycia w tym czasie rozgrywają się jednakże w środowisku domowym, w tej mojej maleńkiej, na razie dwuosobowej rodzinie i właśnie one, a szczególnie te smutne, przykre, pozostawiają najtrwalszy ślad w mojej pamięci, a niewątpliwie także w osobowości.

Obserwuję swojego młodego-starego męża, człowieka, z którym przyszło mi żyć. Człowieka, który przecież miał tylko 33 lata, ale jakże bogate w doznania i doświadczenia życie poza sobą. Staram się dociec przyczyn jego zachowania. Szybko zauważyłam, jak się kształtuje hierarchia jego wartości. Na pierwszym miejscu są koledzy i znajomi, a potem daleko, daleko za tymi wartościami, rodzina, żona. Chociaż swoją matkę bardzo kochał, ale ona, jak i cała jego rodzina, nie miała dla niego zasadniczych wartości.

Jego zachowania podbudowane są jakimiś kompleksami, najprawdopodobniej wyniesionymi z wiejskiego środowiska, a pogłębionymi w dalszym życiu. Chorobliwie boi się „pantoflarstwa". Górować w małżeństwie to była jego idée fixe. Metody, jakie obrał aby ten cel realizować, są według mojej oceny tragiczne.

* * *

Czy oni są kochankami? Od pierwszych dni naszego małżeństwa jesteśmy stale w czwórkę. My i oni. Przybiegają do nas zaraz po zjedzeniu obiadu i wspólnie wychodzimy na spacer. Chodniki po południu są bardzo zatłoczone, chodzimy więc dwójkami. Śmieszne są te dwójki: mój mąż zawsze idzie obok Stefy, a mnie przypada towarzystwo starszego, niewysokiego grubaska o twarzy satyra.

Spacerujemy ulicą Bracką, Marszałkowską, Alejami Jerozolimskimi, Krakowskim Przedmieściem. W czasie spacerów zgodnie z życzeniem Stefy wstępujemy do sklepów, w których ona robi zakupy. Kupuje dla siebie każdy ładniejszy ciuch, który wpada jej w ręce, bo bardzo chce się podobać, tym bardziej, że widzi we mnie rywalkę. Panowie grzecznie noszą siatki.

Stefa ubiera nie tylko siebie. Nagle dochodzi do wniosku, że mój płaszczyk, uszyty z lekkiej wełenki w kolorze niebieskim, jest nieodpowiedni i potrzebny jest mi nowy płaszcz.

Ten płaszcz nie podoba ci się, bo jest zbyt młodzieżowy, a ja nie mogę przecież wyglądać jak twoja córka – pomyślałam, ale nie powiedziałam nic.

Mój mąż zafundował mi więc nowy płaszcz, z czarnego rypsu, identyczny jak płaszcz Stefy. W tych płaszczach byłyśmy już nie jak matka i córka, ale jak siostry. Różnica między nami polegała na tym, że Stefa w tym płaszczu czuła się doskonale, a ja fatalnie. W takim czarnym płaszczu wyglądałam staro i wulgarnie. Pojechałam w nim do rodziców.

– Wyglądasz jak stara baba – powiedziała mama.

Ściągnęłam płaszcz i zaraz oddałam go takiej starszej cioci.

Później nigdy już nie pozwoliłam nikomu wtrącać się do swojego ubioru.

Czesław i Stefa stanowili coś w rodzaju pary „wzajemnej adoracji". Byli kochankami? Ależ nie.

– Co w niej widzi? – zastanawiam się. – Co widzi w tej starszej od siebie, niezbyt urodziwej kobiecie?

Stefa jest wyższa i przystojniejsza od Romana, tęgawego niewysokiego mężczyzny z początkami łysiny, poza tym o niezbyt ciekawej fizjonomii. Stefa farbuje siwiejące włosy na kruczo czarny kolor, rzęsy okalające małe, bure oczka pokrywa grubą warstwą czarnego tuszu, a karminową szminką powiększa wąskie usta. Tylko wielkiego nosa nie może jakoś zatuszować, więc sterczy na środku twarzy.

Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że Czesław jest Stefą zafascynowany. Imponuje mu. Analizując zachowanie mojego męża, staram się rozumieć przyczyny, które kształtowały jego osobowość.

W wieku 14-15 lat oderwany został od rodziny i wywieziony na roboty do Niemiec. Prawie przez cały okres wojny nie miał kontaktu z rodzicami, oni również zostali wywiezieni na roboty. W tak młodym wieku rozpoczął swoje tułacze życie.

Zaraz po wojnie zaczęła się jego żołnierska kariera. Dla młodego, samotnego chłopaka bliższy kontakt z jakąkolwiek rodziną, był bardzo ważny. Stefa w jego wyobraźni, zapewne pełniła rolę matki, przyjaciółki…

A kim Czesław był dla Stefy? Jaką rolę pełnił w jej życiu młody, przystojny wielbiciel, znacznie inteligentniejszy od jej męża? Jakie układy były między nim a mężem Stefy?

* * *

Dochodzę do wniosku, że Stefa jest jakaś masochistką – Roman, ten łysawy grubasek, do idealnych mężów nie należał. Zdradzał Stefę z kim się dało i kiedy się dało. Podrywał nawet jej własne koleżanki.

Jak ona może żyć z takim człowiekiem? Dlaczego się z nim nie rozwiedzie? – zastanawiam się. Zauważyłam, że im bardziej Roman jej dokuczał tym była dla niego lepsza, milsza, im bardziej jej było w domu źle, tym szybciej do niego biegła. Nie mogłam tego zrozumieć. Czy to nie masochizm? Mnie im gorzej w domu, im więcej mam w nim przykrości, tym bardziej zamykam się w sobie, tym większą mam ochotę z tego domu uciec.

Stefa nie kryła wcale, że wielką rolę w ich życiu pełniło… łóżko. I znowu im gorzej było między nimi, tym lepiej w łóżku. Typowy masochizm. Poza tym jest jeszcze jeden czynnik, który uzależniał Stefę od Romana. Stefa nie ma żadnego wykształcenia. Zasługi z okresu okupacji pomogły jej w otrzymaniu stanowiska urzędnika w Komisji Planowania, ale niewątpliwie musiała czuć niepewność swojej sytuacji. Trzymała się więc kurczowo Romana, a on wiedząc o tych wszystkich uwarunkowaniach, zachowywał się w sposób straszny. Jego stosunek do Stefy, sposób bycia, całkowicie mnie od niego odrzucały. Mnie, ale nie Stefę.

Czesław pełnił w życiu Stefy rolę piorunochrona. Własnym uwielbieniem i poświęceniem rekompensował jej doznawane poniżenia. Był zawsze na jej usługi, załatwiał wszystko, o co go poprosiła, wszystko, co tylko mógł. Chronił również Romana, wymyślając na usprawiedliwienie jego nieobecności w domu różne historyjki.

Zaczynałam rozumieć coraz to więcej. Zauważyłam, że przebywanie Czesława w ich towarzystwie, obserwacja życia, zachowań Romana i Stefy, nie mogło niestety, nie pozostawić śladu w jego psychice. „Z jakim przestajesz, takim się stajesz” – mówi przysłowie.

* * *

Śmieszne! Służę za wabika. To spacerowanie po ulicach z moim mężem ma swój cel. Koleżanki, koledzy, przełożeni w pracy, widzą stale Stefę nie w towarzystwie „kozła” o nie najlepszej reputacji, lecz w towarzystwie młodego, przystojnego wielbiciela. Mnie również w tym układzie Stefa wyznaczyła rolę. Służę mianowicie za wabika. Polega to na tym, że ja – młoda dziewczyna – mam wzbudzać zainteresowanie jej męża, aby nie miał ochoty na „skok w bok”, aby czuł się zobowiązany do codziennego człapania obok mnie, podobnie jak mój mąż u jej boku.

Stefa wie, że ja stanowię zagrożenie dla jej układów z moim mężem. Stosuje więc różne metody, aby te układy utrzymać jak najdłużej. Jedna z metod polega na obrzydzaniu mnie Czesławowi.

– Jaki ty masz zadarty nos – śmiejąc się, mówiła do mnie w obecności Czesława. Nigdy nie miałam zadartego nosa, ale chodziło o to, aby Czesław porównując mój normalny nos z jej wielkim nochalem, doszedł do wniosku, że to jej nos jest normalny, a mój zadarty. Innym razem dowiedziałam się, że mam za duże oczy, za cukierkowatą urodę itd.

Stosowała jeszcze bardziej wyrachowane metody.

– Czy ty wiesz? – powiedziała do mnie – że Czesław ożenił się z tobą tylko po to, aby mieć gospodynię w domu. On cię nigdy nie kochał, on sam powiedział, że nigdy nie zakocha się w blondynce, bo jemu podobają się tylko brunetki.

Jemu podobają się tylko twoje siwe, farbowane na czarno włosy, tylko ty mu się podobasz, ty okropna „teściowo" – pomyślałam wtedy o niej z największą nienawiścią, ale celowo i rozmyślnie nic nie powiedziałam. Odtąd nie myślałam o niej inaczej, jak o okropnej teściowej.

Chociaż coraz bardziej denerwowało mnie zachowanie Stefy i Romana, to nie zrobiłam nic, aby przerwać te układy, aby z tym skończyć. Nie robiłam nic, z wielu powodów. Uważałam, że to wszystko musi ułożyć się samo, a że to ja wyjdę z tego zwycięsko, byłam pewna, bo zaczęłam zauważać, że Czesławowi te układy również zaczynają ciążyć, ale nie potrafi się z nich wyplątać.

* * *

Nasze uczucia jak pączek kwiatu…. Obserwuję Czesława. Jego zachowanie czasami mnie szokuje. Nie mam wątpliwości, że w miarę upływu czasu, w miarę lepszego wzajemnego poznawania się, jego przywiązanie do mnie wzrasta, że rozwija się uczucie. Staje się coraz to bardziej miły, ciepły. Zasypia mocno do mnie przytulony, czuję jego ramię obejmujące mnie przez całą noc. Bierze mnie na kolana, głaszcze po twarzy, po rękach, po rosnącym brzuchu, mówi do mnie z największą czułością „panno Sabciu".

– Dlaczego panno? Dlaczego Sabciu? Mam przecież własne imiona. Dlaczego takie przezwiska traktował jak największy komplement? Pęknąć można ze śmiechu, ale zrozumieć trudno. Nie próbuję więc zrozumieć, lecz akceptuję to wyrozumiale. Jednakże coś jest w tym „panno Sabciu" bardzo dziwnego, bo nigdy w życiu nie nazwał mnie własnymi imionami. Gdy między nami będzie układać się dobrze, będę chyba do śmierci „panną Sabcią" a kiedy źle, nie będę mieć imienia.

* * *

Kopniak w serce! Rozumiemy się coraz lepiej, coraz lepiej jest nam we dwójkę, zaczyna powstawać już taka ciepła atmosfera wzajemnego porozumienia się bez słów, za pomocą gestów, uśmiechów. Wtedy następuje uderzenie – w samo serce.

Czesław przychodzi z pracy i oświadcza, że wyjeżdża służbowo za granicę.

– Dokąd jedziesz?

– Tajemnica.

– Kiedy wrócisz?

– Tajemnica.

– Jakim środkiem lokomocji jedziesz?

– Z Warszawy pociągiem.

– Odprowadzę cię na dworzec.

– Nie możesz mnie odprowadzić.

– W porządku, nie to nie. Pakuję walizkę.

– Wyprasuj mi garnitur – prosi.

Nigdy w życiu nie prasowałam męskiego garnituru, nie wiem jak to się robi. Na rękawach wyszły kanty od żelazka. Wpadł w furię. Wrzeszczał, obrzucał mnie wyzwiskami. Porwał walizkę i trzaskając drzwiami wypadł z domu.

– Czy moje przestępstwo było tak wielkie? – Czy nie mógł spokojnie powiedzieć: popraw to, wyprasuj tak, aby nie było kantów? Nawet jeżeli te kanty były pretekstem, jeżeli

odczuwał potrzebę wyładowania się na mnie, z jakiegoś innego powodu, to czy należało to robić w sposób tak okrutny? Czy to ja musiałam być jego ofiarą?

Byłam zszokowana. Ściany domu zaczęły mnie przytłaczać. Ubrałam się, wyszłam z domu i do wieczora spacerowałam po Parku Łazienkowskim. Na drugi dzień, a była to niedziela, poszłam do kościoła na mszę, a następnie do Muzeum Narodowego. Dołączyłam do wycieczki prowadzonej przez przewodnika. Tam przykleił się do mnie jakiś młody chłopak. Coś tam opowiadał, objaśniał. Po wyjściu z muzeum powiedział:

– Mam jeszcze kilka godzin do odjazdu autokaru, tak dobrze się z panią rozmawia, czy mógłbym zaprosić panią do kawiarni? Przesiedzieliśmy w tej kawiarni do momentu jego odjazdu.

Po co była mi ta rozmowa z nieznajomym chłopakiem, który zaraz odjeżdżał? Była bardzo ważna. Pomogła mi wyjść z przeżytego szoku, odreagować i w pewnym stopniu upewnić się, że nie jestem jakimś tam tłumokiem z rosnącym brzuchem. Pomogła zaakceptować samą siebie.

Po kilkunastu dniach Czesław wraca. Zachowuje się tak jak gdyby nigdy nic się nie stało. Jest niezwykle miły, wręcz uroczy. Ja również udaję, że nic się nie zdarzyło.

Z tej podróży przywiózł prezenty. Ze zdziwieniem widzę, że prezenty zaczyna rozkładać na dwie jednakowe kupki. – To dla ciebie, a to dla Stefy – mówi. Śmiać mi się trochę chce, bo takie prawie równe traktowanie żony i przyjaciółki nie jest zbyt eleganckie, ale skąd on ma wiedzieć jak należy zachować się w stosunku do żony. Wyłącznie dla mnie przywiózł jednakże jeden prezent. Są to perfumy „Soir de Paris". Zapach tych perfum pozostanie już na zawsze moim ulubionym zapachem.

Z tej podróży przywiózł jeszcze coś. Pokazuje mi fotografię. Zrobiona została na statku, z widokiem na pełne morze. Na tym statku stoi on, a obok niego młoda kobieta. Z kim ty tam płynąłeś? Jakie układy łączą cię z tą kobietą? – Ona płynęła do męża, który pracuje w Szwecji – powiedział. Tylko rozmawialiśmy.

Nie uwierzyłam. Byłam przekonana, że płynęli pod tzw. „przykrywką" w charakterze męża i żony. Miałam takie przekonanie gdy ta książka wchodziła na rynek po raz pierwszy, a także po raz drugi… Myślałabym tak do końca życia, z urazą w sercu, gdyby nie pewne późniejsze, dziwne wydarzenie.

Upłynęło kilkanaście lat po Okrągłym Stole, już żyjemy w nowej rzeczywistości. Do naszego domu przychodzi starsza pani z fotografią z ręku. Pokazuje mi ją. Widzę dość młodą dziewczynę na statku, w towarzystwie mojego męża. Widzę tę właśnie fotografię.

– Płynęłam wtedy do męża, który pracował w Szwecji – mówi. Wie pani ta fotografia to dla mnie jak talizman. Tym zdjęciem posługiwałam się przez cały stan wojenny. Miałam go zawsze przy sobie. Pokazując to zdjęcie, wszystko mogłam załatwić, wszędzie wejść – zwierza się.

To jest trzecie wydanie tej mojej książki. Szkoda, że ta kobieta z tym zdjęciem, nie przyszła do mnie wcześniej.

* * *

Wszelkie rozgrywki, porachunki, odkładam na potem – powiedziałam do siebie.

Nadeszła wiosna, lato. My dalej spacerujemy po ulicach w tych dziwnych parach. Ja z Romanem z przodu, Czesław ze Stefą z tyłu. Rosnący z dnia na dzień brzuch zmusza mnie do noszenia odpowiednich, szerokich sukienek ciążowych, a puchnące nogi wymagają wygodnych, rozczłapanych pantofli. Twarz również jakoś mi się zmienia. Człapię obok Romana coraz to bardziej nieporadnie, dźwigając to swoje brzuszysko, a obok Czesława w modnej, szerokiej, „bardotkowej" spódnicy na koronkowych halkach, fruwa szczęśliwa Stefa.

Zdaję sobie sprawę z tego, że jestem w bardzo niekorzystnej sytuacji.

Ten swój brzuch noszę wcale nie z przyjemnością. Mam żal do nienarodzonego dziecka, że pcha się na świat tak wcześnie, że z jego powodu nie mogę ułożyć sobie wszystkiego tak jak bym chciała, nie mogę być sobą.

Pomimo tego ciąża działa na mnie wyjątkowo uspakajająco, wyciszająco. Wiem, że gdy tylko urodzę dziecko to dojdę do siebie, to „stanę na nogi". Sprytnie korzysta z tych uwarunkowań moja „trójka".

Chociaż prawie nic nie jest w stanie wyprowadzić mnie z równowagi, to kiedyś nie wytrzymałam. Na przygadywanie Stefy, że chodzę niezgrabnie, krzyknęłam:

– Ty zamiast szlifować ciągle bruki, powinnaś się wziąć do nauki, bo w tej Komisji Planowania, w której jesteś urzędniczką, niedługo awansujesz do roli sprzątaczki.

Wiedziałam, że to moja „wywyższająca się teściowa" ma zaledwie podstawowe wykształcenie. Uderzyłam w czuły punkt. Obraziła się.

– Dlaczego sprawiłaś jej taką przykrość ? – powiedział potem Czesław.

– A ty nie widzisz ile ona sprawia mi przykrości? – zapytałam.

* * *

Czy musieliśmy przegrać tę bitwę? – zadaję sobie smutne pytanie.

Kiedyś z jakichś tam wyimaginowanych powodów, mój „pan i władca" znów zaczyna to swoje gniewanie, połączone z innymi szykanami: nie daje mi pieniędzy na utrzymanie domu, nie je tego co ugotuję, kupuje sobie chleb i kiełbasę i tym się żywi, nie chodzimy razem na spacery, tylko on sam „lata" z Romanami itd.

– Gniewasz się to się gniewaj, z mojej strony nie będzie już żadnych przeprosin za nie popełnione winy, nie będzie nic. Ja wytrzymam, nawet do rozwodu.

Niedługo jednak dane mi było wytrzymać w tym postanowieniu. Zadzwoniła Stefa.

– Słuchaj – mówi do mnie – Czesław jest bardzo nieszczęśliwy. Płacze, mówi, że się zastrzeli, zrób ty coś, bo on nie może ustąpić, ambicja mu nie pozwala. Proszę cię, zrób coś, bo on może się zastrzelić.

Ja, naiwna, uwierzyłam w te kłamstwa. Być może chciałam w nie uwierzyć. Gdy Czesław wrócił z pracy zaczęłam się do niego uśmiechać, przymilać, zaczęłam go przepraszać, chociaż absolutnie nie wiedziałam za co, nie pamiętałam nawet, jaki był powód jego niekończącego się gniewania. Mój mąż łaskawie dał się przeprosić.

Wtedy jednak zrozumiałam, że popełniłam błąd. Zrozumiałam, że nie wolno mi było ustąpić, pod żadnym pozorem i żadnym warunkiem. To był ostatni moment, aby uświadomić mu anormalność jego zachowania, aby wyrwać go z niej. Jaka byłam głupia, że uwierzyłam Stefie. Tę ważną bitwę, przegrałam. Przegraliśmy ją oboje, a także nasze nienarodzone dzieci i to na całe życie.

Po kilku latach Stefa, nawiązując do tej sytuacji, zapyta mnie:

– Pamiętasz, jak ja ci wtedy pomogłam?

– Wyświadczyłaś mi „niedźwiedzią przysługę", nie wolno mi było wtedy ustąpić.

– Zapamiętaj sobie Stefa – powiedziałam – młode małżeństwo nie powinno mieć ani ojca, ani brata, ani żadnych przyjaciół co najmniej przez pół roku.

– To kompletna bzdura z tym płaczem i strzelaniem się – powie Czesław, po przeczytaniu tego rozdziału.

Teraz wiem, że to były kłamstwa Stefy, ale wtedy…

* * *

Równo dziewięć miesięcy po ślubie urodziłam córeczkę, drobną, słodką blondyneczkę, o bławatkowych, wielkich oczkach. Gdy ja rodziłam w szpitalu w Warszawie, mój mąż w

Gdyni przejmował nowe dla niego obowiązki szefa Wojskowej Służby Wewnętrznej Marynarki Wojennej. Po formalnym przyjęciu obowiązków w Marynarce Wojennej wrócił do Warszawy, aby tu rozliczyć się z zajmowanego stanowiska. Wtedy odebrał mnie i naszą córeczkę ze szpitala.

Kiedy wróciliśmy z niemowlęciem do domu, nie mieliśmy go gdzie położyć. W czasie mojego pobytu w szpitalu Czesław zobowiązał się kupić dla dziecka łóżeczko, ale nie zrobił tego. Owinęliśmy więc naszą Ewunię w kocyk, zgodnie z lekarskimi zaleceniami i położyliśmy ją na dwóch wyścielanych krzesłach, obok tapczanu. W nocy, niemowlę, odbijając się piętkami, spadło z tych krzeseł główką w dół, na podłogę. Na szczęście upadło na miękki dywan i nic mu się nie stało. Teraz mam świadomość, jak byłam wtedy głupia – zamiast męża położyć na rozkładanym łóżku, a dziecko wziąć do siebie na tapczan, ja położyłam niemowlę na krzesłach, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

Przez pierwsze dwa dni teściowa przełożonego męża Hania Kurowska, przychodzi i pomaga nam kąpać maleństwo, a potem dajemy już sobie radę sami.

Dziecko kąpiemy w wanience w kuchni. Po wyjęciu Ewuni z kąpieli, kładę ją na kocyk, położony na przyokiennej szafce. Pewnego dnia spostrzegam, że kocyk jest bardzo zimny. Zapomniałam, że pod kuchennym oknem są specjalne otwory, przez które wpadające zimne powietrze powoduje całkowite ochłodzenie szafki. Dziecko wyjęte z gorącej kąpieli otrzymywało więc lodowaty okład.

Innym razem wybrałam się z dzieckiem na kontrolne badanie. Było zimno. Założyłam Ewuni jedwabną czapeczkę, owinęłam lekkim kocykiem – zgodnie z zaleceniami lekarza, który mówił, że lepiej dziecko przeziębić niż przegrzać, wzięłam je na rękę, podeszłam do najbliższego postoju taksówek i pojechałam do przychodni. Moje maleństwo zobaczyła Hania Kurowska, która też tam przyszła z własnymi dziećmi.

– Przeziębi pani dziecko! – krzyknęła i przed wyjściem opatuliła kocykiem moje niemowlę. Nasza Ewunia wszystkie te eksperymenty dzielnie wytrzymała, a może nawet trochę się zahartowała, bo oprócz kataru, i chorób dziecięcych, nie miała żadnych poważniejszych przypadłości. Miała zupełnie inne problemy zdrowotne, o czym jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy.

Po zdaniu obowiązków w Warszawie Czesław otrzymał urlop i wszyscy razem wyjechaliśmy do moich rodziców. Czesław potrafił szybko pozyskać sobie całą moją rodzinę. W miarę lepszego poznawania moi rodzice coraz bardziej go lubili, cenili i szanowali. O sprawę religii nie mieli wcale pretensji do Czesława – Bo on przecież tak został wychowany – mówili. Mieli pretensje tylko do mnie. Czesław ma bardzo dużą umiejętność zjednywania sobie ludzi.

W tym okresie wyglądamy strasznie wybiedzeni. Jeżeli o mnie chodzi, to jest to zrozumiałe: poród, opieka nad dzieckiem, ale Czesław? Otóż on bardzo dużo pali, około 50 i więcej papierosów dziennie. Niedługo zapłaci za ten nałóg przykrą chorobą.

Niebezpieczny chrzest

Po co ci ten chrzest? – zapytał Czesław. Urlop Czesława się skończył, więc pożegnał się z nami i wyjechał do nowej pracy, do Gdyni. Ja zostałam jeszcze u rodziców, bo w Gdyni nie mieliśmy na razie mieszkania. Wtedy powstał problem ochrzczenia dziecka. Już wcześniej rodzice próbowali z Czesławem rozmawiać na ten temat, ale on kategorycznie oświadczył, że nie zgadza się na udział dziecka w obrządkach religijnych.

Czesław wyjechał, a problem pozostał. Dla moich rodziców było nie do pomyślenia, aby dziecka nie ochrzcić. Ja zdawałam sobie już sprawę z tego, że ochrzczenie dziecka może wywołać niesamowite komplikacje w życiu zawodowym Czesława, może przekreślić całą

jego dotychczasową karierę zawodową, może zrujnować mu całe zawodowe życie. Konsekwencje tego czynu poniosłabym i ja, jestem przecież jego żoną.

Czesław starał się trochę tłumaczyć mi ówczesne uwarunkowania polityczne. Jednakże w jego przekonaniu nie tłumaczenia, ale nakazy, zakazy, rozkazy są najbardziej skuteczne. Dlatego, przed wyjazdem, aby mieć pewność, że będzie tak jak sobie życzy, powiedział: – Jeśli ochrzcisz dziecko, to się z tobą rozwiodę. Był to szantaż. Ten szantaż był dla mnie obelgą. – To się rozwiedź – pomyślałam sobie.

Wyrażam zgodę na chrzest córki. Jest to z mojej strony wielki akt odwagi. Mam świadomość podejmowanego ryzyka. Dziecko komandora, bo taki stopień ma już mój mąż, szefa Zarządu WSW Marynarki Wojennej, zostało ochrzczone.

Jak to się stało, że Czesław nie poniósł z tego tytułu żadnych konsekwencji?

Mądre porzekadło mówi: „Jest to cnota nad cnotami, trzymać język za zębami”. O ochrzczeniu córki Czesław dowiedział się wiele lat później. A gdyby to się wydało wcześniej? Być może losy Polski, szczególnie w tym późniejszym, przełomowym okresie, w którym on odgrywał bez wątpienia historyczną rolę, potoczyły by się inaczej.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI